

PAUza

Akademicka



Rok XVIII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 768

pau.krakow.pl

Kraków, 26 marca 2026

pau.krakow.pl

Kult nieuctwa czy wołanie o pomoc?

W poprzednim artykule (PAUza 763) zacytowałam fragmenty listu do kolegi, gdzie – korzystając z nadanego mi przezeń statusu *advocatae diaboli* – pozwoliłam sobie na krytykę pojęcia „lęku matematycznego”, ukutego przez magistrantkę z Poznania. Ta krytyka (celowo stronicza) nie zmienia faktu, że nawet przy swoim dość ograniczonym doświadczeniu dydaktycznym nie mogę nie zauważyć, iż znaczna część populacji boi się matematyki naprawdę. Czy ktoś próbuje robić z tym coś mądrzejszego niż rezygnacja z egzaminu z matematyki na maturze? Ależ oczywiście, i to od dawna!

Jedną z takich rzeczy są książki-zachęty. W roku 1926, tym samym, w którym Julian Tuwim wspominał „piekło i zgrozę”, ukazała się w Polsce książka Szczepana Jeleńskiego *Lilavati. Rozrywki matematyczne*, a w roku 1928 *Śladami Pitagorasa* tegoż autora. W roku 1938 Hugo Steinhaus opublikował *Kalejdoskop matematyczny*. Od tamtych czasów do dziś wydano w Polsce tak wiele nowych książek, zarówno autorów polskich jak i zagranicznych, że jeżeli tylko ktoś chce, to ma w czym wybierać.

Oczywiście, nie wszyscy chcą. Zdolności i zainteresowania ludzi są rozłożone w sposób bardzo urozmaicony. No i dobrze. Niemniej, w każdym społeczeństwie istnieje jakieś ogólne pojęcie, czego warto i trzeba uczyć młodzież, a w naszej kulturze dzieje się to w ramach obowiązku szkolnego. Rozpoczęcie wykonywania tego obowiązku jest uważane przez pedagogów za pierwszy okres krytyczny dla rozwoju zdolności dziecka, a przejście od ogólnego nauczania początkowego do nauki wyodrębnionych przedmiotów u wyspecjalizowanych nauczycieli – za drugi.

Na okresy krytyczne dla rozwoju zdolności matematycznych zwraca baczną uwagę Profesor Zbigniew Semadeni m.in. w pracy zbiorowej *Matematyczna edukacja wczesnoszkolna. Teoria i praktyka* (Kielce 2015). Ocenia on, że zdolnych matematycznie dzieci może być w populacji nawet połowa, i analizuje sytuację, od których może zależeć powodzenie w nauce matematyki lub jego brak. Wśród licznych i ważnych uwag Pana Profesora dwie wydały mi się szczególnie ciekawe:

(a) Wczesny rozwój myślenia matematycznego jest pod wieloma względami podobny do rozwoju znajomości języka ojczystego, ale objawia się nieco później, wobec czego ma mniej czasu na przebieg spontaniczny przed pójściem dziecka do szkoły. Cechą wspólną obu procesów jest samouczenie się przez obserwację: słuchową – języka dominującego w otoczeniu, a wzrokową – zależności matematycznych w życiu codziennym. Językiem ojczystym oraz matematyką „doświadczalną”, opanowywanymi metodą prób i błędów, normalnie rozwinięte kilkuletnie dziecko potrafi się posługiwać całkiem sprawnie (a nieraz także twórczo) mimo, że nie zna obowiązujących reguł gramatycznych ani matematycznych – ono je wyczuwa. Pierwszy okres krytyczny to dlań wstęp do świadomego używania tych reguł oraz zapisu myśli za pomocą znaków.

(b) Przejście od matematyki „doświadczalnej” do abstrakcyjnej jest trudne, a percepcja tych trudności zależy silnie od rozwoju

psychofizycznego dziecka. Dlatego, zwłaszcza w pierwszym okresie krytycznym, jest bardzo ważne, by polecenia nauczyciela były dla ucznia zrozumiałe, a cel wykonywanego zadania matematycznego jasny. Niespełnienie tych (oraz wielu innych) warunków może odstraszać dziecko od matematyki, wyzwalając, a potem utrwalając odruch lękowy. Sytuację komplikuje fakt, że dzieci są bardzo różne i różne jest tempo ich rozwoju tak, że w tej samej klasie szkolnej jedno dziecko może długo potrzebować „liczenia na patyczkach”, podczas gdy drugie obrazi się na infantylizm tej metody, kolejne po prostu matematyką się nie ciekawi, inne zaś ciekawi się i to bardzo, ale długo popamięta przykrość, jeżeli jego sposób rozwiązywania zadania (zakładając, że poprawny) nie znajdzie akceptacji. Na kwestię braku akceptacji zwraca też uwagę Profesor Edyta Gruszczyk-Kolczyńska, referująca w cytowanej wyżej książce wyniki swoich badań z lat 2007–2010. Otóż zniechęcenie do matematyki lub wyuczona bezradność może się pojawić także wśród wybitnie uzdolnionych dzieci, jeżeli system będzie od nich wymagał... niewyróżniania się ponad przeciętność.

Wracam do obserwacji, że uzdolniona matematycznie jest z grubsza połowa młodzieży. Mógłby ktoś stąd wnosić, że skoro to jest połowa (a więc zaledwie połowa!), to reszta jest niezdolna i powinna być automatycznie zwolniona z matematyki na egzaminie dojrzałości. Otóż nie! Przynajmniej dlatego, że w tej drugiej połowie jest nadal dużo dzieci wystarczająco inteligentnych, które odpowiednio poprowadzone potrafią przezwyciężyć swoje uprzedzenia i lęki tak, by pogodziwszy się z koniecznością włożenia cięższej pracy, poradzić sobie z wymaganymi zadaniami. Po drugie zaś dlatego, że podstawowa kultura matematyczna, polegająca z jednej strony na dyscyplinie logicznego myślenia, a z drugiej na szukaniu rozwiązań nieoczywistych, bardzo się w życiu przydaje, nie tylko do uprawiania nauk ścisłych lub zawodów technicznych.

Dla tych dwóch różnych połówek rozkładu zdolności i zainteresowań młodzieży, polski system edukacyjny ma od dawna rozwiązanie w postaci podstawowego lub rozszerzonego zakresu wymagań maturalnych. Co miało być w danej epoce znajdować w każdym z tych zakresów, muszą ustalać specjaliści, którzy będą wiedzieć, jak dostosować program nauczania nie tylko do rozwoju nauki, ale i do zmian społecznych.

A zmiany społeczne (podobnie jak współczesna nauka i technika) galopują dziś znacznie szybciej niż darwinowska ewolucja ludzkich mózgów. Młody człowiek ma prawo oczekiwać jakiejś nagrody za wysiłek włożony w naukę matematyki, ale prawdziwa nagroda często jest odroczonej tak bardzo, że za młodu trudno ją zauważyć. Natomiast „nagroda” za brak tego wysiłku jest tuż-tuż – w mediach społecznościowych, reklamach, sztucznej inteligencji (skądinąd bardzo przydatnej). W tej sytuacji nauczanie czegokolwiek, nie tylko matematyki, wymaga od pedagogów wysiłków niemal nadludzkich. Kto zechce, kto potrafi być takim pedagogiem?

BARBARA PETELENZ

Instytut Fizyki Jądrowej PAN
(emerita)

Przyczynek do Glosy¹ Profesora Białasa

Uniwersytety to jedno z najwspanialszych osiągnięć naszej cywilizacji. Toteż ze zgrozą obserwuję ostatnio próby zmiany ich charakteru i przeznaczenia. Na szczęście istnieją ludzie próbujący przeciwstawić się temu barbarzyństwu. Sprzeciwić się nie jest łatwo, bo stoimy wobec potężnego i podstępного przeciwnika, którego moc wynika z niewidzialności i anonimowości. Cała jego istota tkwi bowiem w przedrostku „neo-” jego nazwy – neoliberalizm, która sama prawie nic nie znaczy, brzmi łagodnie i przyjaźnie. Jedno z najbardziej perfidnych ucieleśnień tej ideologii znane jest jako *Our common future*; zawarte tam zakłęcie „zrównoważoności” okazało się niezwykle efektywnym narzędziem mącenia w głowach. Aż nie do wiary, jak łatwo poddały się mu uniwersytety, które zaczęły konkurować ze sobą o zajęcie jak najwyższej pozycji w rankingach zrównoważenia.

Kilka czołowych uniwersytetów w kraju z dumą ogłasza, że zostały wysoko sklasyfikowane w rankingu „THE Impact” i zajmują zaszczytne miejsca w przedziale 401–600. Cóż to za ranking?

„THE Impact” jest „globalnym rankingiem uczelni opartym na SDG”, zaś SDG (Sustainable Development Goals) to zestaw 169 zadań, do wykonania których zobowiązały się w 2015 roku 193 państwa. Od początku było wiadomo, że tych zadań nie można zrealizować w przyjętym terminie piętnastu lat. Już w roku ich uchwalenia nazwano je w czasopiśmie Economist „przykazaniami raczej gorszymi niż bezużytecznymi”. Od samego początku było bowiem wiadomo, że są one niemożliwe do urzeczywistnienia. W ostatnim raporcie z wykonania tych zadań podano, że zaledwie 17% planów ma szansę na sfinalizowanie do roku 2030, natomiast w przypadku pozostałych obserwuje się ograniczony postęp lub regres w stosunku do stanu wyjściowego. Przyjęte zadania wykonujemy dowolnie. Ale do końca lipca 2025 roku tylko 25 państw dostarczyło swoje zaktualizowane plany odnośnie do osiągnięcia postawionych celów.

Realizowane są zadania zmierzające do zagwarantowania równości płci, jakości edukacji, partnerstwa, jednak te najważniejsze, dotyczące ochrony klimatu wykazują nawet regres. W roku 2024 pobity został rekord emisji gazów: 57,1 GtCO₂, odnotowano zatem wzrost emisji o 1,3% w porównaniu z rokiem 2023. Uczelnie składają coroczne obszernie sprawozdania ze spełnienia obowiązków, do których wcale były powołane. Każda z działających na rzecz zrównoważonego rozwoju uczelni podkreśla swoje zasługi w realizacji nierealizowanych zadań, ale żadna z nich nie może się pochwalić choć jedną pracą o realnych problemach kryzysu planetarnego (punkty krytyczne w ziemskim systemie klimatycznym, biopojemność, ślad). Żaden uniwersytet w Polsce nie opublikował dotychczas raportu o swoim wkładzie w zaśmiecanie atmosfery emisją dwutlenku węgla. Żaden uniwersytet nie informuje o rocznym zużyciu papieru.

W *Glosie* do wypowiedzi P. Sztompki (PAUza 752) Profesor Andrzej Białas zwraca uwagę na dodatkowy, bardzo groźny sposób zachwaszczania umysłów – groźny, bo podstępny i pozornie niewinny – jest nim wykorzystywanie platform społecznościowych. Ale istnieje jeszcze groźniejsze narzędzie tumanienia, czyli „fabrykacja wątpliwości”,

dokonywana przez wyspecjalizowane w tym celu ośrodki, nazywane instytutami. Są one groźniejsze, bo większość tych „instytutów” używa języka akademickiego do opisywania swojej działalności, określając „fabrykantów” mianem „badaczy”, „ekspertów” lub „członków towarzystw naukowych”, a nawet zatrudniając rozpoznawalnych naukowców (przykłady podaje M. Popkiewicz w swojej książce *Świat na rozdrożu*, wydanej w 2012 roku). Groźba tych niby-instytutów, które G. Monbiot nazywa śmieciowymi tankami (*junk tanks*), polega na tym, że są one jak kolce białek na powierzchni wirusa, za pomocą których władza plutokratów wdiera się do komórek życia publicznego i przejmuje kontrolę nad całością życia ludzkiego. Wszystkie te „tanki” są już połączone w jedną sieć ATLAS, obejmującą cały glob ziemski, mogą więc wspólnie niszczyć zdrową tkankę społeczną w dowolnym kraju. Nie jest to już tylko przeciwnik, ale groźna zaraza. Weźmy jeden przykład perfidii działania.

Pierwotnie lansowane słowo antropocen niosło w sobie właściwą treść, nie apoteozy możliwości ludzkości, raczej zażenowania destrukcyjnym ich wykorzystaniem. Dowodem na to są chociażby trzy podawane argumenty świadczące o antropocenie: opady radioaktywne testów broni atomowej, kości brojlerów sztucznie „ewoluowanych” oraz zaśmiecenie globu plastikiem, który swoim ciężarem już dwukrotnie przewyższa ciężar istot żywych.

Gdy tylko pojawiły się prace wskazujące na destrukcyjną rolę człowieka oraz sprzeciw wobec używania samego słowa antropocen, do akcji weszły „tanki”. Słowo antropocen zostało natychmiast „skradzione” i nadano mu zupełnie inną interpretację. Z nazwy naukowej Breakthrough Institute w Berkeley opublikował manifest promujący „wspaniały antropocen”, nie destrukcyjny, lecz kreatywny. Wydał go przynajmniej w 12 językach, bo jak sam informuje, tylu zgłosiło się wolontariuszy, aby go przetłumaczyć.

Zaraz po wspomnianej publikacji ukazało się kilka prac ostro krytykujących tezy zawarte w powyższym manifestie. W Polsce, a jakże, ujrzała światło dzienne informacja o „wspaniałym antropocenie”, ale o jego krytyce ani słowa. Nie sądzę, żeby te negatywne publikacje nie były w Polsce znane, myślę, że są też osoby, które by wyraziły swoje odmienne zdanie, ale w naszym kraju atmosfera wciąż jest przesiąknięta trutką TINA (There is no alternative). Myślę, że jednym z bardzo efektywnych sposobów przeciwstawiania się zarazie „siania fałszu i zarabiania na tym” byłoby zorganizowanie Platformy (Forum, Agory), gdzie można by demaskować bezczelność kłamstw i hipokryzji.

Na zakończenie jeszcze mała uwaga o przyczynach spadku zaufania do uniwersytetów i nauki w Polsce.

W czerwcu 2022 roku Profesor Piotr Sztompka miał na Walnym Zgromadzeniu PAU wykład pt. *Kryzys wiarygodności*, w którym przedstawił, między innymi, sześć jego przejawów godzących w bezstronność i rzetelność nauki. Trzeci z nich to „komercjalizacja nauki”. Nie minęły trzy lata i w grudniu 2024 roku Fundacja Nauki Polskiej zaoferowała 146 milionów polskich złotych na... „wsparcie komercjalizacji nauk”. I cóż? Możemy poszperać, a karawana i tak pójdzie dalej.

WALENTY OSTASIEWICZ

Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu
(emeritus)

¹ Zob. A. Białas, *Glosa*, PAUza 752, nr z 4 grudnia 2025.

Na probostwie w Wyszku (fragmenty)

[...] Trafiliśmy właśnie na sam środek relacji kanonika o pobycie w jego domu w ciągu ubiegłego tygodnia „rządu polskiego” z ramienia Rosyjskiej Republiki Rad, złożonego z rodaków naszych – dr. Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kohna. [...] Na szczęście ksiądz wikary, powodowany starą zasadą gościnności, której tak wielkie fenomeny wojny nie zdołały wyrzucić, zarządził postawienie przed każdym z nas szklanki gorącej herbaty. Co więcej – w cukiernicy, która, jak ziszczenie pięknego marzenia, z ręki do ręki krążyła poczęta, oczy nasze ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i okazałej obfitości kawałków. Ksiądz wikary, nie przerywając bynajmniej poważnego dyskursu ambasadora Jusseranda z księdzem kanonikiem Mieczkowskim, zdołał szepnąć nam, przybyszom, do ucha:

– Proszę brać, proszę śmiało!... To cukier p. Marchlewskiego, zostawiony przezeń w popłochu ucieczki... [...]

Przyszli władcy Polski i Warszawy, według relacji wszystkich obecnych, byli otoczeni silną strażą, która z nabitą bronią pilnowała ich kwatery na plebanii, jeździli znakomitym i wytwornym automobilem, jedli i pili doskonale, spali wygodnie. [...]

Szyby okien na probostwie były powybijane przez kule. Stojąc przy jednym z tych okien i przez dziurę w szkle patrząc w cichy ogród, dziwiłem się, ile to w tym zaciszu w ciągu krótkiego czasu dokonało się przemian. Ludzie, o których była mowa, jakby żywe kształty abstrakcyjnych idei, przychodzili i odchodzili, przeciągali przez to mieszkanie, przynosząc ze sobą istne kłęby inwektyw, skarg, marzeń, złudzeń, obłąkań – mówili o tyranii, krzywdach, morderstwach, torturach, przekleństwach i śmierci w rozpacz, nie spostrzegając wcale, iż sami wdrapują się na tę samą wyniosłość, wyszlizganą przez męczeńskie kolana i że zemsta cierpiących wypycha im znowu w ręce berło tyranii...

Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski, czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś z wyższą, w obcym kraju, w swym zespole, w swej partii. Jako takich można by ich nazwać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy „po krestjańskim diełam”, za poprzedniej inwazji carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawiali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnetów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nasze nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiedzieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną – obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i żołdackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz żołdacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniweczenie nie zasobów i skarbów materialnych, bo te mają wartość względną

i mogą być powetowane, lecz zniszczenie zabytków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadach, ojcach, dzieciach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki, bezmiernym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalonych w opornym materiale, które rzesza ciemna z moskiewskich rozlogów tutaj przygnana zdruzgotała, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkich oczu cieszyć nie będą. [...]

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że, jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbów sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci, jak ci, to tu, to tam znaleźli posłuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnęło na tego ducha bagotog bolszewicki. Polska żyła w lenistwie ducha, opłątana przez wszelakie gałganstwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczostwo kosztem ogółu, przez jałowy biurokracizm, dążenie do kariery i nieodpowiedzialnej władzy. Wszystkie wzniosłość, poczęta w duchu za dni niewoli, zamarała w tym pierwszym dniu wolności. Walka o władzę, istniejąca niewątpliwie wszędzie na świecie, jako wyraz siły potęg społecznych, partii, obozów i stronnictw, w Polsce przybrała kształty monstrualne. Nie ludzie zdolni, zasłużeni, wykształceni, mądrzy, których mamy dużo w kraju, docierali do steru władzy, lecz mężowie partii i obozów, najzdolniejsi czy najsprytniejsi w partii lub obozie. Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzelśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów. [...]

Na odgłos strzałów, rozlegających się za Bugiem, dr Julian Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński, pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny weteran socjalizmu Feliks Kohn – dali drapakę z Wyszku. Pozostał po nich tylko wielki swąd spalonej benzyny, trocha cukru, oraz wspomnienie dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabłonią cienistego sadu. Przed wyjazdem dr Julian Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie:

Miałeś, chłopie, złoty róg, Miałeś, chłopie, czapkę z piór, Został ci się ino sznur...

Jak w wielu innych rzeczach, tak i tutaj, niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski wcale w rękę nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jaki strój, to już chyba okrągła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wokoło pawimi piórami prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeżdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wywołł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w rękę z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień, lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię.

STEFAN ŻEROMSKI

[LINK do pełnego tekstu](#)

Polska to nie Niemcy i nie Holandia

Tekst Prof. Andrzeja Targowskiego proponujący reformę polskiej służby zdrowia (PAUza 763) zaraz na wstępie zawiera diagnozę:

Przyczyny systemowych kłopotów są dobrze znane: chroniczne niedofinansowanie, monopol płatnika, zapaść kadrowa, biurokracja i brak profilaktyki.

Potem następuje projekt zmian, które zdaniem Autora pozwolą zlikwidować, a przynajmniej poważnie zredukować, wady systemu.

Naszą publiczną ochronę zdrowia znam tylko jako pacjent, toteż spróbuję odnieść się do propozycji Prof. Targowskiego z tego punktu widzenia, mając nadzieję, że mój głos rozpocznie dyskusję, do której gorąco zachęcam wszystkich czytelników.

Chociaż niewiele wiem o wewnętrznej organizacji polskiej służby zdrowia, przypuszczam, że faktycznie porzucenie monopolu NFZ poprawiłoby sytuację, jako że konkurencja zazwyczaj prowadzi do bardziej racjonalnego działania. Mielibyśmy zresztą już okres, gdy działały regionalne oddziały NFZ, i pamiętam, że powszechnie znani wybitni lekarze, przewidując problemy, próbowali – bezskutecznie – przekonać Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, aby do centralizacji nie dopuścił.

Również trudno się nie zgodzić, że położenie większego nacisku na profilaktykę poprawiłoby stan zdrowia Polaków i dlatego należy koniecznie ją rozwijać, nawet gdyby nie wiązało się to z oszczędnościami, na które liczy Prof. Targowski. Oszczędności nie są bowiem wcale oczywiste. Wydatki na profilaktykę zwracają się przecież dopiero po latach, toteż jej opłacalność finansowa zależy od dostępności i aktualnej ceny kapitału. A wiadomo, że w Polsce nie jest z tym najlepiej.

Wreszcie wzmocnienie podstawowej opieki zdrowotnej rzeczywiście stwarza możliwości złagodzenia dotkliwego braku specjalistów. Chociaż i tutaj powstaje problem dofinansowania oraz dostępności wykwalifikowanej kadry dla placówek POZ.

W sumie propozycje Prof. Targowskiego brzmią więc – wydaje mi się – całkiem rozsądnie i przekonująco, aczkolwiek, być może, należałoby je uzupełnić solidnym rachunkiem ekonomicznym, przystosowanym do polskich warunków.

Powstaje jednak uzasadnione pytanie, dlaczego – skoro są tak rozsądne, nie zostały dotąd wprowadzone w życie. Trudno wszak przypuścić, że wszyscy rządzący dotąd Polską nie widzieli problemów służby zdrowia lub nie mieli świadomości, jakie są ich przyczyny. Wręcz przeciwnie, raczej nie ulega wątpliwości, że znali je doskonale, ale z jakiegoś powodu powstrzymywali się od działania. Ten powód nie jest trudno zidentyfikować. Jednym z punktów programu, kluczowym dla sukcesu projektu (jak słusznie podkreśla Autor), jest bowiem wprowadzenie REALISTYCZNEGO koszyka gwarantowanych świadczeń medycznych. Czyli listy świadczeń, których wykonanie system FAKTYCZNIE może zagwarantować. To konieczne, aby zapewnić równość szans i jednocześnie opłacać chroniczne niedofinansowanie systemu.

Otóż jestem przekonany, że wprowadzenie takiego koszyka jest nie do przyjęcia dla przeważającej liczby obywateli Polski i dlatego projekt jest niemożliwy do zrealizowania, bo żaden polityk przy zdrowych zmysłach nie zaryzykuje takiego kroku.

Pojęcie koszyka gwarantowanych świadczeń medycznych brzmi bowiem bardzo rozsądnie i sugestywnie, dopóki nie uświadomimy sobie, że oznacza to również – w domyśle – powstanie listy świadczeń, które – jeżeli będzie to koszyk realistyczny – REFUNDOWANE NIE BĘDĄ. I to właśnie, myślę, powoduje, że ten punkt, a więc i cały program, był i będzie odrzucony.

Powoływanie się na przykład Niemiec i Holandii nie bierze pod uwagę ważnego faktu: różnicy w poziomie dochodów. PKB per capita Niemiec wynosi obecnie ok. 45 tys. U\$, a Holandii nieco ponad 50 tys. U\$. Tymczasem ta sama wielkość dla Polski wynosi ok. 18 tys. U\$, jest więc przeszło dwa i pół razy mniejsza. Zakładając więc podobny procent PKB na nakładach na służbę zdrowia, koszyk gwarantowanych świadczeń w Polsce musiałby być ok. dwa i pół razy uboższy od jego odpowiedników w Holandii i w Niemczech. A to z kolei oznaczałoby, że wiele zabiegów byłoby dla Polaków po prostu niedostępnych. Nie sądzę, abyśmy na to przystali.

Stajemy się przed wyborem: albo poważnie ograniczona dostępność do terapii, ale bez kolejek, albo regulowanie dostępności poprzez kolejki. Jestem przekonany, że ogromna większość rodaków z dwójga złego wybierze to drugie rozwiązanie, czyli to, co mamy dzisiaj. Daje ono bowiem każdemu przynajmniej teoretyczną możliwość działania i (choćby pozorną) szansę na sukces, co psychologicznie jest łatwiejsze do zaakceptowania niż wymuszona przepisami bezczynność. Złazszcza że nie jest to całkowita loteria: w końcu są metody skrócenia kolejki, nie zawsze uczciwe, nie zawsze moralne, ale często skuteczne. A w walce o zdrowie, szczególnie kogoś bliskiego, zazwyczaj staramy się poruszyć niebo i ziemię, szukamy znajomości, szukamy „dojścia”, próbujemy nawet korupcji. Słowem, chwytny się nadziei, często iluzorycznej, rozum ustępuje uczuciom, moralne opory nierzadko schodzą na dalszy plan i „wszystkie chwytty są dozwolone”. Dlatego wolimy mieć możliwość aktywnego działania i (nawet złudną) nadzieję, że nasze usilne starania doprowadzą do pozytywnego rezultatu, niż pogodzić się z poczuciem bezsilności, które bywa przecież koszmarnie. A takie właśnie poczucie bezsilności będzie w wielu sytuacjach stwarzało, z konieczności ubogi, koszyk świadczeń gwarantowanych.

Dodajmy, że projekt Prof. Targowskiego nie bierze pod uwagę innych ważnych różnic między Polską a Holandią i Niemcami. W odróżnieniu od zachodnich sąsiadów, w Polsce nawyk racjonalnego uzasadniania swojej aktywności oraz przekonania nie jest ani powszechny, ani specjalnie ceniony. Kierujemy się często emocjami, bywa, że wbrew rozsądkowi (co zresztą czasem daje znakomite rezultaty). Różne są też systemy prawne oraz szacunek obywateli do rządów prawa. Parafrazując wypowiedź jednego z polityków amerykańskich, powiem: *W Holandii to, co nie jest zabronione, jest dozwolone, w Niemczech to, co nie jest dozwolone, jest zabronione, w Polsce nikt nie wie, co jest zabronione, ani co jest dozwolone, ale to nikomu nie przeszkadza, tylko kosztuje drożej.*

Podsumowując, mam wrażenie, że projekt Prof. Targowskiego, chociaż intelektualnie atrakcyjny, nie zostanie zaakceptowany przez Polaków.

Przynajmniej przez jakiś czas. Myślę, że raczej długi.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;
Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja